ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 25 listopada 1916 roku № 48

Alfred Konar. POWIEŚĆ.

KARJERY.

5

W uszach im szumiała jakaś niebiańska muzyka, jakby śmiech aniołów, a może i szatanów; bo rozkosz ich nie mieściła się w niebie: zapożyczała jakichś bolesnych tonów z otchłani piekła.

Nie śmieli spojrzeć sobie w oczy, jakgdyby wstydzili się tego, co w miłości nie jest anielskie. Posłyszeli szum poruszanych liści dzikiego wina... To nie wiatr... Odsunęli się nieco od siebie... Spojrzeli spłoszeni w stronę tarasu:

— Nie, nie... To było przywidzenie...

— Boję się... Wszystko się skończy... Bo to się stać nie może. To byłoby zbyt piękne...

— Kocham cię — objął ją ramieniem i tulił, jak swoją własność.

Znowuż ten szum poruszanych liści dzikiego wina...

— Tam ktoś jest.

Na schodkach ganku, osrebrzona światłem księżyca — zjawiła się matka Ireny z przywołaną na pomoc ciotką Benisią.

— Jeszcze nie śpisz Irenko? — badała ją obłudnie stara.

— Żadna szanująca się śpiewaczka nie naraża gardła na chłód nocy — strofowała ją dyplomatycznie ciotka Benisia.

— Idę już. Dobranoc — wystraszona musnęła kolejno matkę i ciotkę.

— Proszę mi wybaczyć — tłómaczył się po jej wyjściu Horski — to ja przetrzymałem pannę Irenę, dla bardzo poważnych zwierzeń.

— Uważam rzeczywiście czas i miejsce za bardzo nieodpowiednie — mówiła wyniośle, jak lód zimna, ciotka Benisia, sprowadzona tu do pierwszych skrzypiec przez niezdolną do akcyi starą Winterową.

— Jakież to były zwierzenia, jeżeli wolno zapytać?

— Powiedziałem pannie Irenie, że ją kocham.

— Ach! Tak? Uważałeś pan widocznie, że śpiewaczkom można za kulisami oświadczać się tajnie po nocach?

— Nie. Prosiłem ją o jej rękę.

— A to doskonałe! Za cztery lata skończysz pan uniwersytet; a o ile tylko zdobędziesz następnie jakątaką praktykę, będziesz musiał płacić długi, zaciągnięte na studya. A nie wiem, czy twojej matce fabryka będzie wiecznie wypłacała to odszkodowanie za śmierć twego ojca? Twoja matka uważa cię za jedyną podporę swego życia; marzy o twoim świetnym ożenku. A czy pan zapomniałeś, że matka Ireny jest materyalnie zrujnowaną; że Irena nietylko, że jest bez grosza, lecz ma jeszcze w domu dwie siostry, których losem musi się zająć. Musi je kształcić, wyposażyć. Nie wiem, czy takie ciężary, kule u nogi w zaraniu życia ułatwią panu karyerę? I czy ta nędza, jaką ofiarowujesz tak wspaniałomyślnie swojej przyszłej żonie — umożliwi jej życie? Zapomniałeś pan, że pani Winterowa zwinęła dom i za sprzedaną biżuteryę jedzie z córkami na rok do Włoch; bo tam ostatnią stawką ich życia — jest talent i uroda Ireny, która po odbytych studyach będzie starała się o debiut na scenie, a ewentualnie o engagement do opery w Kairze, w Ameryce, lub w Australii. Nie może więc wiązać swego życia z młodym studencikiem.

Cała prawda zbyt dobitnie była mu ukazaną, jak na dłoni. Był to tryumf zła wszystkich komplikacyi życia, despotycznych więzów, obowiązków i poziomych fałszów, wobec głosu jedynej prawdy serc, śpiewu ptactwa, szmeru liści, woni kwiatów i porywów własnej duszy...

Pochwycił się za młodzieńczą głowę pod despotycznym ciężarem ich życiowej logiki i rozpłakał się, jak małe dziecko.

A „życie“ w postaci wymownej ciotki Benisi i znacząco niemej Winterowej — ciągnęło dalej:

— Pojmujesz pan, że wobec tego, co tu zaszło, nie mogę pod moim dachem solidaryzować z konsekwencyami twoich oświadczyn. Byłoby to grzechem z mej strony wobec jej matki i sióstr, a także wobec jej własnej młodości i niedoświadczenia życiowego. Dlatego, drogi panie, choć wiesz najlepiej, jak jesteś, jako krewny nieboszczyka męża, zawsze mile widzianym gościem w Jędrzejewicach — musisz je tym razem niezwłocznie opuścić. Wytłómaczę wszystkim gościom twój nagły wyjazd, spowodowany pilnym listem, otrzymanym od pańskiej matki. Masz pan jeszcze kilka godzin czasu do zapakowania kufrów. A ja wydam niezwłocznie rozporządzenie, aby jutro nad ranem konie przygotowano na pierwszy pociąg do Warszawy. Bądź zdrów. Bardzo mi przykro, że to ja właśnie musiałam się podjąć tego nieuniknionego wycięcia tej bolesnej gangreny. Lecz widzisz pan, jak sprawę tę odczuła matka Ireny — wskazała na wycierającą głośno nos starą Winterową. — Będę się czuła bardzo szczęśliwą, jeżeli w najbliższej przyszłości zechcesz pan jesz-

cze kiedy zawitać do Jędrzejewic. Bądź zdrów, moje dziecko.

Pocałował ją w rękę. Ona musnęła go w czoło. Ukłonił się starej Winterowej, której tryumfującego błysku w małych oczkach dostrzedz nie mógł.

Jak zraniony pies, biegł do swego pokoju na górę. Nie czuł do nich żalu, uważając je jedynie za symbole tragedyi życia. To wszystko, co mówiły — było po ziemsku słuszne. Niesłusznym był los, fatum, które kazało mu się wyrzec Ireny. Zdawało mu się, że dojrzał dopiero w tej chwili. Wie już, co jest życie. Trzeba będzie wziąć się z niem za pazury.

— Nie oddam im Ireny. Ona jest moją.

Począł pakować gorączkowo kufer. Następnie wziął się do pisania listu do niej.

List ten, dziecinny, szalony, pełen zaklęć, zachwytów, zroszony najczystszemi i być może ostatniemi dziecięcemi łzami, a w gruncie, jak dwie krople — podobny do wszystkich młodzieńczych listów miłosnych, mówiących bardzo wiele i nic zgoła — postanowił dla pewności rzucić własnoręcznie na wyjezdnem do stacyjnej skrzynki pocztowej.

Uspokojony tą decyzyą i zmęczony przeżytemi wrażeniami — usnął snem młodzieńczym. Dopiero nad ranem, zbudzony przez służącego, zerwał się, ubrał pospiesznie i skoczył na bryczkę, która odwiozła go na stacyę kolejową.

III.

Ten rozwiązany w tułaczej karecie lekarza kłębek myśli — omotał Horskiemu mózg, aż do męczącego bólu głowy. Ostatecznie wpłynął też na decyzyę rzucenia stangretowi rozkazu przy wsiadaniu do pojazdu po wizycie, którą Horski odprawił, jak pańszczyznę:

— Jestem niezdrów. Nie jedziemy już dziś nigdzie. Ruszaj do domu!

— Słońce, pogoda, wiosna! — dyagnozował Horski swój stan. To wszystko dobre dla młokosów, takich jak Romek, który także widocznie na wakacye na jakąś wieś wyrusza. Lecz ja śród najgorszej jesiennej szarugi — nie czułem się nigdy tak źle, jak dzisiaj.

— Ach! Jestem nareszcie w domu! — lubuje się wnętrzem swego malinowego gabinetu, przeładowanego nieco portyerami, festonami, dywanami, londyńskiemi meblami od Mupple'a i niezbyt gustownemi bibelotami od pacyentów z różnych parafii.

Przebrany w pretensyonalną trochę piżamę — rozgląda się z angielskiej safianowej otomany z lubością po malinowych matowych ścianach, upstrzonych obrazami, jeśli niezbyt wyszukanej artystycznej wartości, w każdym razie z podpisami najdroższych malarzy.

Jak mile dźwięczy tik-tak bogatego empire-zegara, ustawionego śród nieodłącznych dwóch świeczników na kominku, ornamentowanym tapicerszczyzną!

— Niema mnie w domu dziś dla nikogo! — oznajmił służącemu.

— Panna Fela telefonowała, proszę jaśnie pana.

— Mówiłem — zwierzył się w zniecierpliwieniu — że nie przyjmuję dziś nikogo; tembardziej jej.

Aby oderwać się od smutnych wspomnień, skierował myśli ku teraźniejszości; lecz wnet zakonkludował:

— Zamienił stryjek na siekierkę kijek.

Wszystko wydawało mu się dziś ohydą; a szczególniej te spełnione marzenia karyery, które udało mu się osiągnąć: Ta całodzienna wieczna jazda w tej wzbudzającej zawiść karetce więziennej i ci lukratywni pacyenci z high life'u, te wszystkie urojone choroby, których leczyć nie warto, i te prawdziwe, które się leczyć nie dają!

I to ciągłe udawanie zainteresowania się tą ordynarną, fabryczno-biurową całodzienną lekarską robotą, uskuteczniana specyalnie dla chleba coraz zbytkowniejszego!

I te ciągłe kłamstwa w labiryncie zagadkowych tajemnic natury z komedyancką pozą jasnowidzącego maga, cudotwórcy!

O! Miał tego wszystkiego po szyję. I powracał mimowoli do męczącej piły jejtmotywu swoich dzisiejszych cierpień:

— To ona mi życie złamała; a raczej ci, którzy mi ją wydarli.

Owa chmara wypuszczonych z uwięzi motyli, owa rzucona na kiermaszu raca confetiów, która zalała swemi despotycznemi falami cały jego bezsilny mózg — nie pytała go teraz wcale, czy zgadza się, lub nie zgadza na te męczące go w całej swej oceanowej potędze wspomnienia. Bezbronny musiał przed niemi uchylić głowy: Obrazy stawały mu przed oczami jeden za drugim:

Powrócił owego pamiętnego ranka z Jędrzejewic do Warszawy z dewizą:

— Trzeba będzie z życiem wziąć się za pazury.

Lecz niebawem poznał, niestety, jak potężnie groźnym jest ten przeciwnik i do jak strasznie nierównej wyzywa go walki.

Pierwszym nieoczekiwanym hukiem armat — był list od jego matki. Na samo wspomnienie jeszcze dziś włosy na głowie mu stają.

Ten huk armaty zagłuszył nawet na chwilę huk ostatniego żywiołowego gromu w Jędrzejewicach.

Ta święta, ukochana, piękna jego matka — zawiadamiała go wyszukanemi, jakby zaczerwienionemi ze wstydu wyrazami, iż niespełna w rok swego wdowieństwa — wstąpiła ponownie w związki małżeńskie z panem Janem Rudnikiem (O! wstydzie!). Ten pan Jan Rudnik był jego pierwszym korepetytorem, o kilka lat zaledwie od niego starszym, przystojnym dużym drabem, obecnie urzędnikiem tej samej fabryki, której ś. p. ojciec Horskiego był dyrektorem.

Po przeczytaniu tej kartki (pamięta to teraz doskonale) ryknął z bólu. Miał uczucie policzka nietylko na własnej twarzy, lecz jakgdyby ktoś (niestety! ten ktoś — to rodzona, ukochana matka!) oplwał mu duszę, honor, całą zacną pamięć czcigodnego ś. p. ojca, w którego uśmiechach miłości — kąpało się, jak w słońcu, całe jego dziecięctwo, cała młodość matki...

I teraz ten Alfons żeni się z kobietą o kilkanaście lat starszą, z tą świętą jego matką! Pochwycił się za głowę z obawy, aby nie oszaleć. Czuł najdokładniej, że w tej właśnie sekundzie przestał już być dzieckiem; i z bólu zrodził się człowiek.

Na fakt ten dokonany nie było już rady. Nigdy nie potrafiłby wynaleźć słówka odpowiedzi na list ten. Nie mógł przecież prosić matkę, aby zechciała pokłonić się od niego mężowi, panu Rudnikowi, i aby zapewniła go o wyrazach sympatyi i szacunku!

Miał uczucie, że stracił rodziców i że jest na świecie zupełnie sam. Wielki styl jego tragedyi psuła jedynie mała ludzka słabostka.

— Gdybyż przynajmniej ten nienawistny oiczym nazywał się inaczej... Ale: Rudnik! Brr! To było po nad jego siły. Horski był od dziecka próżny, szczególniej pod względem zaszczytnych stosunków i chęci należenia do „sfery".

Być może, iż była to charakterystyczna ambicya wszystkich „bliednych krewnych". Sam należał bowiem do bocznej linii Horskich. Pomimo, iż nieczętował się tym samym herbem Oksza, nie pochodził z prostej linij od tych „prawdziwych" z Jędrzejewic, wylegitymowanych potomków kasztelanica Horskiego, wychowanka dworu Augusta III-go.

Ów kasztelanic, pradziad Horskiego z Jędrzejewic, był żonatym —

nie bagatela—z siostrą niezbyt świetnej pamięci księcia biskupa Massalskiego. Matka zaś doktora, z domu także Horska, wychowywana w Jędrzejewicach — należała do najuboższej gałęzi tego rodu.

Lecz żywiołowe gromy Jędrzejewickie bardzo prędko zaczęły powrotnie zagłuszać w nim dźwięk armat rodzinnego mezaliansu z Rudnikiem. Mężczyzna zwyciężył nietylko małego człowieka, lecz i syna.

Całe wewnętrzne życie Horskiego pochwyciła znowu w szpony cudna Irena.

Zaczął rozmyślać o liście, który tak uspakajająco podziałał na wyjezdnem po ostatniej Jędrzejewickiej nocy.

Analizując po niewczasie treść tego listu, doszedł do przekonania, że był od A do Z—nonsensem. Prócz maligny miłosnej, nie było w nim nic realnego: ani prośby o korespondencyę, ani podania adresu, ani żadnego projektu na przyszłość.

A największym nonsensem był idyotyczny pomysł, zrodzony w tym nocnym transie, że nie chciał zaufać nikomu ze służby, która dawała mu stale dowody wielkiej życzliwości (jaką wzbudzają bardzo łatwo młodzi), lecz strzeliło mu do głowy rzucić ów list do skrzynki pocztowej na stacyi.

Teraz był przekonanym (małe dziecko przecie domyśliłoby się tego!), że ciotka Benisia wraz z matką Ireny list ten, niewręczony adresantce — zniszczyły.

Pojął wtedy jedno: że należało niezwłocznie jechać do Jędrzejewic; a może udałoby mu się w takim razie (nie wiedział jeszcze, w jaki sposób) sam na sam z Ireną na stacyi, a może w ogrodzie?

— Chodziło przecież jeno o kwadrans rozmowy, o ułożenie akcyi na przyszłość.

Zresztą chciał ją widzieć. Na nic rozprawy ze samym sobą, na nic argumenty, przeszkody... Nie mógł nie jechać, bo musiał.

Zastawił na drogę w lombardzie dość cenny ojcowski zegarek.

Pojął teraz, że wraz z nowem zamążpójściem matki (nowy zgrzyt w piersiach!) całe życie jego musi ułożyć się inaczej.

Wprawdzie po śmierci ojca zmienił bardzo zbytkowny pensyonat na skromny kawalerski pokoik, urządzony schludnie pozostałemi pięknemi domowemi meblami. Lecz matka z dość znacznej emerytury, otrzymywanej od zarządu fabryki — przysyłała mu regularnie miesięczną przyzwoitą studencką pensyjkę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Tadeusz Rittner. NOWELA.

UROCZYSTE CHWILE.

Polini obudził się z przykrem uczuciem, że ma w głowie kilkadziesiąt kul ołowianych. We śnie rozmawiał znowu ze swą dawną przyjaciółką; powiedział jej wiele prawdy, ale bądź-co-bądź jeszcze za mało. Kule ołowiane — to słowa, które zapomniał jej cisnąć w oczy. Powinien był jej powiedzieć jeszcze to i owo... Np., że są większe aktorki, że dla niej przez piętnaście lat nie angażował żadnych młodych i zdolniejszych kobiet, że byłby się już dawno ożenił z jaką majętną osobą, gdyby nie ona. Że właściwie nie była mu konsekwentnie wierną. Że opuściła go w roku najcięższym dla teatru. I jeszcze mnóstwo rzeczy. Można było dodać, że wogóle zniszczyła mu życie...

Zaczął wdziewać bieliznę i spodnie. Tak, zniszczyła mu życie. Co tu mówić? Najwyższy czas, żeby się ratować. Zwłaszcza, że trafia się osoba uczciwa, majętna, przystojna..., która... no...

Strach ścisnął mu gardło lodowatą rączką. Odczuł nagle całkiem bezpośrednio zbliżającą się godzinę ślubu z osobą uczciwą, majętną, przystojną...

Stanął w lustrze i ujrzał w niem — Grzegorza Werle.

Zdarzało się to już naprawdę za często w ostatnim czasie. Ustawicznie, kilkanaście razy na dzień. Ta sama przeklęta twarz. Dlaczego właściwie ta a nie inna? Miał przecież różne twarze, niezliczone, dużo ciekawsze. W dodatku, nie była to jego rola. Grał ją kilka razy bez najmniejszego ciepła, bez żadnej szczególniejszej sympatyi. Wogóle... co to jest Grzegorz Werle?

Usiadł znowu na łóżku i zaczął medytować. Przypomniał sobie jakieś obojętne słowa z drugiego aktu, które umiał jeszcze jako-tako na pamięć. Za wiele umiał. Zanadto się te muchy nudne lepią do mózgu — niby po co, na co? Werle to idealista, Don Kiszot — czy jak. Co mu tam! Czy sam jest idealistą? Nie — ani trochę. Jeżli już Ibsen, to np. Oswald. Bardzo wdzięczna rzecz, wściekle efektowna. Wywoływali go wtedy bez końca; tak wybornie udała mu się „paralysis progressiva". Wyszedł niejako jeszcze z roli, niejako z twarzą Oswalda i kłaniał się smutno, smutno... Jakaż to była twarz?

Spojrzał znowu do lustra i zobaczył... znowu Grzegorza Werle.

Splunął. Miał poprostu mdłości. Wpadło mu na myśl, że dzisiaj żadną miarą nie może się żenić. Czyby to nie dało odłożyć się na jutro, pojutrze... a właściwie na drugi miesiąc... Odetchnął głęboko. Strzeliło mu coś heroicznego do głowy. Wpadł mu na myśl sposób jakiś japoński, czy indyjski złamania sobie ręki. Rzecz wymagająca nadludzkiej energii, bohaterstwa. Nasrożył się, zacisnął pięści, spojrzał jak Mucyusz Scevola na drzwi otwarte, których miał użyć do tego wielkiego czynu. Z ciekawości zerknął jednak do zwierciadła, i...

O mało nie rozpłakał się z gniewu na szlachetne oblicze Grzegorza Werle.

Niech ona myśli sobie, co chce — mruczał, leżąc znowu, już na pół ubrany na łóżku — ale ja się dzisiaj nie ruszę z pokoju. Zamknę drzwi na klucz, spuszczę żaluzye. Można sobie zrobić Nirwanę, odciąć się od realności. Można golnąć trzy flaszki wódki i zamienić się w rzecz. Niech tam sobie wichry szalejają, ziemia się trzęsie, niech bracia, wujowie, kuzyni strzelają do okien zamkniętych. Niech niewiasta w napadzie świętej histeryi drapie się na szczyt wieży katedralnej i stamtąd trąbi o mnie całemu światu sromotne banialuki. Niech, niech! Cóż może trąbić? Jeśli się przyjmie najgorszą ewentualność — to nie może być ona boleśniejszą od prawdy. To nie znaczy, ho, ho — mylisz się. Tak źle nie jest. Żyłem przez piętnaście lat z Waleryą. Znacie ją, wiecie — duża aktorka. Charakter nie najlepszy, no, dzika bestya, nieobliczalna, miałem z nią wiele zgryzot. Ale dziś jeszcze śniła mi się w nocy, choć rozstaliśmy się już dawno, na Wielkanoc. Miała urok, była kobietą. Ani zresztą przystojna, ani uczciwa, ani majętna... ale... z nią byłem młody. Dziś kiwnę palcem, a wróci do mnie — do mężczyzny i do dyrektora teatru — i znowu będę młody. Daję słowo honoru. A nie wierzycie, to telegrafujcie do niej. Poświadczy. Rozbeczy się w telegramie, tak weźmie ją serdeczna prawda. Mimo wszystko. Pomimo, że jest „boa konstrictor".

Zapłakał nagle. Wprawdzie tylko z popsutych nerwów, ale bądź-co-bądź, łzy były nie markowane, słone, gryzące. Prawie się ucieszył, że tak prawdziwie płacze. Pomyślał, że dzisiaj kończy się jego młodość, pomimo, że ma dopiero... no ileż?... Najwyżej czterdzieści dziewięć. Dodał jeszcze raz: „najwyżej" — a z oczu znowu mu się gęsto polało, bo w końcu, jak się już raz zacznie, to idzie łatwo. Więc cóż — ryknął — mam już zostać starcem, głazem?!...

Czuł, że jak dziś weźmie ślub z wdową Pocielińską, osobą zacną, przystojną i t. d., stanie się niechybnie starym. Nie istniała większa pewność, bo czuł, że tak jest. Z Wandą Pocielińską będzie miał siedmdziesiąt lat, gdy z Waleryą — można na nią mówić, co się chce! — był młody.

Nietylko „jeszcze" młody, ale młody. Walerya robiła mu nawet formalne sceny zazdrości, tak był młody. Z nią, tylko z nią. Nie mógł powiedzieć, żeby ją kochał... Ale jej oddech, zapach działały na niego, jak Tonicum. Atmosfera tej sypialni, — ot, to ona, jego młodość, krew. Natomiast Pocielińska...

Zaczął po raz tysiączny może filozofować nad tą osobą, nad jej typem. Dlaczego nie odczuwa w niej kobiety, pomimo, że jest zdrową, silną, ładną i wcale nie przejrzałą. Pomimo, że podoba się dosyć mężczyznom, a jemu samemu podobała się dawniej, przed trzema zaś tygodniami nawet tak dalece, że się jej oświadczył. Potem natychmiast przestała mu się podobać, choć zrazu przed

samym sobą nie chciał się przyznać. I im bliższy był termin ślubu, tem dziwniejszą, prawie niepojętą wydawała mu się myśl, że ta bujna, miła, życiem i zdrowiem, jak to mówią „tryskająca“ niewiasta ma się stać jego małżonką, następczynią Waleryi w tym pokoju, intymną przyjaciółką, kochanką... Dlaczego? Dlaczego?

Polini z natury nie był skłonny do zastanawiania się nad życiem, tylko przeważnie żył. Nosił nazwisko włoskie i wiedział, że rodzina jego pochodzi z tego kraju, gdzie „przeważnie się żyje“. Wiedział zatem coś nie coś o sobie, ale mało o sobie myślał. Byłby się obraził, gdyby mu recenzent powiedział, że nie jest „inteligentny“ — ale jednocześnie uważał się z pewną dumą za człowieka czynu, za pokaźny okaz fizyczny, za temperament. Lubił nawet „silne“ role, a niekiedy kpił wcale niedwuznacznie z „symbolistów“ i „filozofów“... Podejrzewał ich o brak śmiałości i najpierwotniejszych zdolności życiowych... że lepiej myślą, niż całują, cherlaki nędzne... Że prędzej, czy później (stanowczo prędzej) zjedzą ich niezdrowe refleksye.

Aż tu nagle — od trzech tygodni wzięło go okropne przeświadczenie, że sam lepiej myśli, niż całuje. Ile zaś razy spotkał się w ostatnim czasie z jasnem, słonecznie czystem, animalnem spojrzeniem Wandy Pocielińskiej, doznawał przeraźliwego lęku. Coś niby w rodzaju metafizycznych wyrzutów sumienia. Tak jak nieraz nagi pan z miasta wstydzi się leśnego strumienia, w którym się kąpie. Po każdem widzeniu się z nią ogarniało go kilkogodzinne, rozpaczliwe Taedium vitae... Raz miał w takim stanie grać wieczór Romea (za kolegę, który nagle zachorował) i nie mógł... Miał uczucie, że Julia napluje mu w twarz, strąci go z balkonu, skompromituje go jakoś przed publicznością. I w pół do piątej posłał rolę zielonemu debiutantowi z Kociej Wólki. „Jestem za stary“ — oświadczył otwarcie... Na to szelmy zaczęły naturalnie uśmiechać się, szeptać, przewracać koziołki w duszy. „Słyszeliście, dyrektor powiedział nam... powiedział nam...“ Mniejsza o to...

Leżał na łóżku i myślał.

„Psuję się... Niema co mówić... Psuję się“...

Wpadł na następującą, trochę zawiłą teoryę, co do siebie i Wandy Pocielińskiej. Argumentował mianowicie:

W jej zdrowej urodzie niema — cieni. O to chodzi. Zdawało mi się zawsze, że w miłości pierwszą istotną rolę odgrywa ciało, a to nieprawda. Walerya nie cierpiała wprawdzie na hipertrofię mózgu, ale za to miała nerwy; była po troszę histeryczką, więc niejako inteligentną osobą. O to chodzi: przynajmniej o pozory jakiegoś psychicznego życia. Słowem, jeszcze raz: o cienie. W posągu Wenery Medycejskiej nie można się zakochać, bo jest nieuleczalnie biały, czysty, pogodny. Wdowa Pocielińska nie jest wprawdzie posągiem, a nawet „bardzo wesoła i żywa“, jak mówią wszyscy przeciętni mężczyźni, ale w tem życiu jest tylko światło, błyszcząca powierzchnia, pogodna, bez zmarszczek. Ja nie jestem mężczyzną. Jestem aktor Polini, wielki artysta. Dla mnie miłość jest walką z cieniami, które widzę w twarzy kobiecej. Moja miłość pożera te cienie, wchłania w siebie i niszczy. To wszystko, co w istocie kobiecej nazywa się „wyrazem“, czy „inteligencyą“, czy „duszą“ — i tem żyje, tylko tem. Musi uschnąć z pragnienia, umrzeć z głodu tam... gdzie niema cieni, gdzie jest tylko ciało słoneczne, pogoda, błyszcząca powierzchnia... Dlatego Pocielińska nie istnieje dla mnie erotycznie. A nie może być dla mnie kobietą i tem, czem była mi Walerya. Nigdy, nigdy... Niech mężczyźni przeciętni mówią o mnie, żem stary... Niech uśmiechają się, szepczą, przewracają koziołki w duszy. Ja wiem, kim jestem...“

Powtarzał do w pół do pierwszej popołudniu, że wie, kim jest... Pieścił w ustach i w sercu słowo „artysta“, bawił się dźwiękami przebrzmiałemi ról z przed laty, grał nie swoje i jeszcze nie napisane, kołysał się i tumanił, sam siebie cyganił z otwartemi oczyma, utkwionemi w pułap, na pół ubrany, nie umyty, z głową rozczochraną, gorącą...

Kiedy nagle przyszli do niego kacr we frakach i w białych rękawiczkach. Bo zapomniał odciąć się od realności i przez drzwi ledwie przymknięte weszli swobodnie brat pani Wandy i dwóch innych młodzieńców-drużbów...

Aha, drużbów.

Uśmiechnął się bez wyrazu, tak, jak na próbie, kiedy zapomniał nagle pierwszych słów swej kwestyi.

O czem że ja to przed chwilą... — męczył się w duszy, rozmawiając jednocześnie uprzejmie i słodko z katami. Tłómaczył im, że przed chwilą był niezdrów i tylko z tego powodu nie wdział jeszcze fraka. Jego Physis była na scenie. Grała „pana młodego“ w poszczególnych scenach. Roztargnionego, he he. Naturalnie. Kaci uśmiechali się pobłażliwie, klepali go... No, zbieraj się.

Zebrał się. Ucharakteryzował w okamgnieniu, przeżegnał się cichaczem jednym palcem... i bums za kulisy.

Na scenie dużo świateł, organy, ksiądz, panna młoda, znane pytania.

„Tak“ — odpowiedział dźwięcznie.

Teraz już się nie zastanowił, tylko żył owem lunatycznem życiem teatralnem, co bierze, jak sama prawda. Pocielińska była zadowolona i dumna. Bo on miał jednak nieopisaną elegancyę i... pewność siebie. Szedł z nią środkiem kościoła, jak w operze król między halebardami. Pocielińska znała już te dreszcze (kiedy to pierwszy raz...), ale Pocieliński nie miał tej pańskiej swobody, co Polini. Szło się przecież całkiem inaczej z mężczyzną, który uczył się chodzenia, tak jak Pocieliński łaciny.

Godziny płynęły, jak łabędzie po jedwabnej wodzie. Zwłaszcza, że poślubna biesiada była udana. Pan młody przemawiał...

Za darmo — myślał młodziutki krewny Pocielińskiej, ze znanego magazynu mód damskich.

Aktor-rozrzutnik obdarzał wszystkich pięknością swego głosu, choć nikt nie kupił biletów. I wszystkim wydawało się, że wiedzą nawet, co mówi Polini. Także jemu się tak zdawało. Bo wina były wyborowe i w dostatecznej ilości, a głos ludzki jest także, jak alkohol. Potem sala hotelowa zamieniła się w pokład okrętu kołyszącego się na oceanie. Panie rozkosznie rozparły się na fotelach, nie dbając o huśtawkę. Mężczyźni szli śmiało od jednej do drugiej, smaląc cygara i nie myśląc o chorobie morskiej. Orkiestra okrętowa grała. Polini z góry gdzieś, jak kapitan, grzmiał, huczał, dźwięczał... Szum fal, wiatru, jedwabnych sukien.

Okręt stanął; zarzucił kotwicę.

Polini siedział sam na sam z Pocielińską. Patrzył tępym wzrokiem pasażera, który dopiero od kilku minut jest na stałym lądzie...

— To niby ja, a to ona, — kombinował mozolnie — a zresztą nic, cztery ściany... enfin seuls.

Przypomniał sobie wszystkie przesłanki tej groteskowej chwili i zadrżał na myśl, że jego rzeczą będzie teraz konkluzya.

Ale nagle się zaśmiał. Głosem dla niego samego obcym. Zaśmiał się może jego instynkt aktorski. Dyabli wiedzą, kto. Może dlatego, że wymagała tego wyższa ironia sytuacyi. A po śmiechu zasłonił sobie twarz ręką, tak jak dobrze wychowany człowiek, kiedy mu się wymknie jakiś ton nieprzewidziany. Spojrzał z ukosa na Pocielińską i zauważył na jej twarzy strach nieopisany.

— Co ci jest? — spytała drżącym głosem — chory jesteś? Dać ci wody? Zadzwonić na służbę?

Troskliwość i lęk, zwłaszcza lęk niewiasty w dekoltowanej sukni, podziałały dziwnie przyjemnie na mężczyznę we fraku poplamionym holenderskim sosem.

Boi się — stwierdził z satysfakcyą.

Przytem uśmiechnął się chytrze, jak furyat, kiedy dozorca szpitala chowa się przed jego napadem pod łóżkiem.

Jakiś szał aktorski go opanował. Zaczął wykrzywiać się, żeby Pocielińską jeszcze więcej nastraszyć. To, co dotychczas robił tylko czasem w fantazyi bo w teatrze publiczność nie wytrzymałaby z pewnością. Te twarze-maski, których sam bał się, jak dziecko, kiedy widział je oczyma komedyanta w ciemnicy swej wyobraźni. Grał jak pijany, brutalnie, bez opamiętania. Grał upiory, kalectwa, okropności z jakichś nieznanych bajek.

Aż się zmęczył i upadł na sofę.

Usłyszał, jak Pocielińska spazmatycznie płacze, i dopiero wtedy niejako się przebudził. Zaczął się wstydzić boleśnie, rzucił się do jej kolan, przepraszał...

A kiedy płakała coraz bardziej, jął tulić ją do siebie z szczerą tkliwością i skruchą.

Ujrzał na jej gładkiej twarzy cierpienie, okropną troskę, pytanie „co będzie jutro?“ Ujrzał... cienie na jej twarzy, głęboką a miękką boleść kobiecą — i zadrżał.

Także ona spojrzała na niego szybko, czujnie, domyślnie...

„Jak Walerya“ — odczuł nieświadomie.

I nagle zaczął pić — gorącemi ustami piękność jej warg, twarzy, ramion, włosów, piersi...

Już tylko „żył“...

KONIEC.

ANTONI PILECKI.

Promienna myśli ludzka!

Promienna myśli ludzka! — gdy patrzę w twe głębie,
Kiedy wiew twoich lotów pierś moją ogarnie,
Widzę, jak kładziesz skrzydła na nowych dni zrębie,
Niesiesz haseł okrzyki — narodzin męczarnie!

Promienna myśli ludzka! — zbierasz z dziejów ziarna,
By wonne, świeże kwiaty zasiać na mogile —
Choć ciemna noc nadeszła, krwią ludzką ofiarna,
Choć słychać jęki bólu, i łez płynie tyle...

Promienna myśli ludzka! — W głębinach przyszłości
Nowe dzieje się rodzą — szum życia dolata...
Kwiat uroczy powstanie z starych ojców kości...
I zlecisz w nurt zadumy śród innego świata.

Promienna myśli ludzka — przyszłych czasów dziecię!
Pieśń życia nam zaśpiewaj — w górę skieruj loty!
Wnieś nowych wieków hasła w minione stulecie!
Leć w słońce! — rozpłomienisz dni jasnych raj złoty...

Sielanka prawdziwa taka..

W roku krwawym tysiącznym dziewięćsetnym szesnastym, wojny światowej trzecim — życie na polskiej wsi płynie nie bez trosk, ale i nie bez zdarzeń sielankowych...

Obok uroków natury, zdrowego powietrza, jakiego-takiego dostatku żywnościowego, niemałym powabem pośród monotonii, okrasą śród jednostajnej szarzyzny żywota sielskiego jest — polówka! I nie potrzeba ostępów ani puszcz, ani grubego zwierza, łosia, żubra czy dzika, nie potrzebna wymyślna broń magazynowa; — wystarczy pospolita śrótowa dwururka z kurkami, jak Bóg przykazał (z dyszla, panie dobrodzieju, strzelać nie będę!), ze dwie setki rauchlozów, poletko półwłókowe koniczyny czy kartofli i — rozkosz gotowa!

A obok rozkoszy, że to w tych ciężkich a okrutnych czasach piękne z pożytkiem pod rękę chadzać powinno — jest i profit z zabawy w postaci smacznego dania na obiad, na kolacyę, i na drugi jeszcze obiad, i na drugą kolacyę, gdy wena dopisze.

. . . . . .

Dziedzicowi pewnego folwarczka w „nie bardzo podłym" zakątku ziemi mazowieckiej — wena łowiecka dopisywała stale. Nie był strzelcem rekordowym, ani myśliwstwa sportowo nie uprawiał, pochłonięty pracą na roli; ot, tak „wypadał" sobie od czasu do czasu na godzinkę — półtorej, puknął kilka razy i, rzecz prosta, bez łupu nie powracał. Kłopotom śpiżarnianym pani dziedziczki czyniło to wielką ulgę...

By zaś i sobie ulżyć w niedoli dźwigania upierzonych trofeów, zabierał stale ze sobą pierwszego z brzega gamonia z pośród młodszej „rabiaty" parobczyńskiej, najczęściej gęsiarka, dziewięcioletniego jedynaka komornicy „ozerwistki", co to jej męża na początku wojny na Działdowskiem w Prusach zatopiło...

Zdarzyło się, że na gęsiarka padło i tego dnia fatalnego. Zabrał go dziedzic, jak zazwyczaj, ze sobą w pole do noszenia „kropatwów".

Po piątym łupie-trupie, kiedy potrzeba było już tylko jednego okazu do niezbędnej „dostawy nakazanej" (sześć kuropatw żądała na dziś dziedziczka) — fyrknęło nagle z szumem galante stadko na tyłach dziedzicowych. Samtu! się nie popisał: wiatr wiejący od strony przeciwnej zmylił snać czujność wiernego wyżłego węchu... A pan dziedzic schodził był właśnie poletkiem w dół ku łączce; by mu więc chybkie ptactwo nie śmignęło na tamtą stronę pagórka, obrócił się sprawnie na miejscu, i z przyrzutu, piorunem, wygarnął. Nie namyślając się, z drugiej lufy — poprawił! Kura, jak czapa, pacnęła w bruzdę, pies dopadł, chwycił na ząb, niesie — polówka na dziś skończona!

Ale na górce słychać jęk. Wyraźnie ludzki jęk! Spieszy w to miejsce myśliwy — z ziemi podźwignąć się chce gęsiarek, ale nie może... Ino za brzuch się trzyma i stęka coraz boleśniej...

— Wstawaj, czego ty tak — — —

— Nie mogę... — jęczy chłopaczyna głosem coraz zamierającym...

Z trudem, półsłówkami tylko, wystękuje zaniepokojonemu strzelcowi, co się stało... Z bezładnych tych jęków odtwarza sobie dziedzic z przerażeniem cały ogrom nieubłaganej fatalnej prawdy! Chłopaczyna biegł za strzelcem ze zwierzyną, potknął się na górce o kamień, upadł, a gdy się podnosił, dziedzic właśnie, nie widząc go zgoła, kropił z drugiej lufy — — —

Pod wieczór zmarło się gęsiarkowi. Nie pomógł sprowadzony z miasteczka o milę doktór: okrucieństwu ślepego przypadku i skojarzonych z nim nieubłaganych praw natury — stało się zadość.

Psiakrew! paskudna sprawa!... Głupstwo przeprawy z władzami, dochodzenia, śledztwo i t. d. Ale życie ludzkie!... Jedyny syn matki wdowy!... Fatalna, fatalna sprawa — — —

Należało pomyśleć o zadosyć uczynieniu. Nie potrzebował przecież dziedzic posyłać na wieś parobków ani karbowego — nieszczęśliwa matka nazajutrz wczesnym rankiem stawiła się sama we dworze niewołana.

— Przyszłam, proszę wielmożnego pana — zaczęła twardo — wedle pochówku — — —

— Ano, ma się rozumieć, moja kobieto, dam wam na pogrzeb. I nietylko na pochowanie, ale i — — —

I szlachcic sięgnął pospiesznie do kasy, wyjął stamtąd jedną stówkę, drugą, wrócił się po chwili, wyjął jeszcze trzecią, dołożył do tego pięćdziesiątkę, przygotowaną zawczasu na „pochówek" chłopaka, i całą tę sumę, nie bez zawstydzenia, wcisnął w garść chłopce. Spojrzała na swą rękę, w oczach jej zaszkliło się ogromne zdumienie, schyliła się do nóg dziedzicowi i ucałowała z wdzięcznością jego kolana.

— No, no — odsuwał ją łagodnym ruchem ręki, sam szczerze wzruszony.— Niczem ja wam tego nie zapłacę, moja...

— Oj, pewnie! oj pewnie!! — teraz dopiero buchnęła wielkim płaczem kobiecina i pędem pobiegła na wieś.

Nie wychodził już tego lata w pole ze strzelbą dziedzic-myśliwy, nie rad nawet przechodził koło zabudowań chłopskich — tak trudno było mu pozbyć się myśli o śmierci chłopaka i łzach jego matki...

Aliści w słotną jesienną niedzielę przychodzi do dworu parobczak Walek, obłapia pokornie dziedzica za nogi i prosi o konie. Do kościoła, na zapowiedzi dać. Że to żenić się będzie! Ano, kobietka świarna, ma trzy całe stówki ruskich pieniędzy...

Nazajutrz, dziedzic idzie przez wieś— rozpromieniona, śmiejąca się pochyla się do nóg jego komornica „ozerwistka"...

. . . . . .

Ot, sielanka prawdziwa taka z roku krwawego tysiącznego dziewięćsetnego szesnastego, okrutnej wojny światowej— trzeciego...

B. Gorczyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

14 POWIEŚĆ.

Ale teraz, gdy odszedł, nie mogła odżałować, iż puściła go tak nieopatrznie. Opadł ją taki lęk, takie niedobre przeczucie, że aby je zagłuszyć, wstała i zakrzątnęła się około obiadu dla siebie. Miała trochę ugotowanego od wczoraj ryżu, parę świeżych, surowych jajek i filiżankę mleka. Zjadła to i wypiła, ale złowrogie myśli nie przestały jej dręczyć.

Parę godzin minęło w ten sposób. Dokoła panowała głęboka cisza; na gościńcu nie było żywej duszy.

Nareszcie jednak trzy szybko idące postacie ukazały się od strony bazaru. Doszedłszy do lepianek wyplataczy mat, postacie te zaczęły je okrążać od tyłu. Przy chacie Hamakhana zatrzymały się i rozejrzały dokoła. Pusto było zupełnie.

Wówczas cicho i szybko z kocią zręcznością jeden z tych ludzi wskoczył na ramiona drugiego, który oparł się o tylną ścianą lepianki i bosemi nogami jął skradać się po dachu.

Za tym pierwszym podążył drugi i obaj zbliżyli się do otworu, w którym tkwił żagiel. Jeden szybki rzut oka, z zapartym oddechem, i cofnęli się bez szelestu. Bez szelestu zeskoczyli z dachu i wraz z trzecim towarzyszem, który podpierał ścianę, pobiegli szybko boczną drogą w stronę Siryanowskiego pałacu.

Dora siedziała w chacie na ziemi tuż pod owym otworem, przez który trochę świeżego powietrza wpadało do wnętrza.

Zdjęła zasłonę, bo wprost dusiła się z gorąca, i odrzuciła w tył długie, luźne rękawy, obnażając swe śliczne ramiona i ręce, które w pomroce chaty błyszczały, jak srebro. Te jej mleczne członki, złotowłosą głowę i cudną, białą twarz zobaczyli wysłańcy, i z tym obrazem w oczach pobiegli co sił do Siryana.

I jakby przez jakiś magnetyczny wpływ zbrodnicze myśli i zamiary tych ludzi przeniknęły do mózgu Dory. Momentalnie wyobraźnia ukazała jej Hamakhana zamordowanego zdradziecko w ciemnościach pustyni i powód tego ohydnego czynu stał jej się jasnym, jak słońce.

I instynktownie spojrzała w górę, ale nie było tam widać nic, prócz krążka błękitnego, jak zwykle, nieba. Żaden szelest nie doszedł jej uszu, a jednak coś jej szeptało, że w tym otworze tkwiło niebezpieczeństwo i poczęła wyrzucać sobie, że siedziała tak blizko.

Podniosła się z ziemi z silnem postanowieniem: musi w ten lub inny sposób ratować Hamakhana; nie dopuści, żeby wracał sam po nocy.

Omotała się więc od stóp do głów w te tak jej wstrętne, dławiące zawoje i upewniwszy się, że dziecko śpi spokojnie pośrodku szerokiego tapczana, odsunęła zastawę i ekran i wyszła, zasłaniając starannie wnijście za sobą. Poczem szybkim krokiem skierowała się ku chatom wyplataczy mat.

W godzinę potem, gdy kopuły Siryanowskiej rezydencyi poczęły nasycać się bladą różowością na tle przejrzystego nieba pustyni, gościniec wiodący do krajowego miasta zaludnił się jaskrawo odzianemi postaciami i rozbrzmiał gwarem rozmów i śmiechów.

Nadeszła godzina wypoczynku i rozrywki na Wschodzie; godzina wieczornego chłodu i życie rozlało się szeroką falą pod przejrzystym, bezkresnym namiotem bursztynowego powietrza.

W stronę miasta szła szybko, krokiem pewnym ludzi świadomych swego celu, gromadka pathańczyków, a ich czerwone turbany i bladoniebieskie opończe stanowiły jaskrawą sprzeczność z ciemnemi *chuddah* trzech kobiecych postaci, które postępowały za nimi w pełnej uszanowania i pokory odległości, w jakiej żona krajowca zwykła towarzyszyć mężowi.

Środkowa z tych postaci wyższą była, niż tamte dwie, a chód jej i ruchy różniły się od zabawnego dreptania indyjskich kobiet. Ale w tłumie nikt nie zwracał na to uwagi i zresztą krajowiec nie przygląda się z blizka kobiecie, gdy pathańczyk idzie przodem.

Ową środkową postacią była Dora i szła z żonami dwóch z pomiędzy przyjaciół Hamakhana, którzy pospieszyli na jej wezwanie. Dzielna to była eskorta i serce Dory rosło nadzieją i otuchą, gdy patrzyła na ich potężne kształty i myślała o wyostrzonym nożu, który każdy z nich niósł, i o ich lwiej odwadze.

Gdy doszli do miejsca pomiędzy domami, w którem droga skręcała w bok i z którego Haider spoglądał na Siryanową rezydencyę, wspaniała łuna zachodu dosięgła już szczytu swej krasy i kilka gwiazd migotało blado w przejrzystem powietrzu. Piaszczyste przestrzenie pustyni leżały wzdęte zlekka, niby zaróżowione fale. W dali bukiet wysokich, smukłych palm złocił się na tle nieba, niby olbrzymi, puszysty wachlarz.

Tu pathańczycy zbili się w gromadkę i poczęli się naradzać.

Dalej już kobiety nie mogły iść z nimi.

— Siadajcie tu i czekajcie — rzekł Gaida, najserdeczniejszy przyjaciel Hamakhana. — Z tego pagórka możecie widzieć wszystko, jak na dłoni — dodał uprzejmie. — Nie zabawimy długo; nim noc zapadnie, ujrzycie nas powracających z Hamą.

Kobiety usiadły. Dora nie sprzeciwiała się również. Zrozumiała, że najrozumniej będzie zostawić mężczyznom swobodę ruchów; a z tego miejsca mogła przynajmniej patrzeć na te białe mury, po za któremi znajdował się jej ukochany.

* * *

Gdy Hamakhan cały jeszcze drżący oburzeniem doszedł do żelaznej bramy ogrodu i zastał ją zamkniętą, wściekłość jego nie miała granic.

Otaczała go rozkoszna, wonna cisza ogrodu, napełniająca się teraz rosą i tajemniczym mrokiem. Zapach tysiącznych kwiatów unosił się w liliowym zmierzchu; olbrzymie, białe kielichy połyskiwały srebrzyście wśród liści. Nic nie mąciło uroku i rozmarzającej piękności tej sceneryi.

Ale Hamakhan stał na nic nie zważając, wpatrzony zaiskrzonemi oczyma w bramę, jak młoda pantera nie nawykła do klatki.

Rozumiał on dobrze, co znaczyło to zamknięcie bramy. Zatrzymają go tu do chwili najdogodniejszej dla skrytobójstwa, a potem Siryan pośle zbirów po jego żonę i porwie ją bez żadnej przeszkody.

Na tę myśl mąciło mu się w głowie z bezsilnej wściekłości i rozpaczy. Jak szalony rzucił się na bramę i począł ją szarpać, lecz brama mocno osadzona i dobrze naoliwiona zatrzęsła się tylko bezszelestnie, i na tem koniec.

Po chwili odstąpił od bramy i zaczął obchodzić mur. Był zręczny, silny i sprężysty, jak młody lampart; może uda mu się wydobyć stąd w jakiś sposób. Poszedł wązką ścieżycą wzdłuż muru, nad którym łukowato zwieszały się drzewa granatów; ale mur był gładki jak szkło, a drzewa rosły w takiej odległości, że

skoczyć z nich na szczyt parkanu było niepodobieństwem.

Światło dnia gasło szybko. Z dalekiego minaretu dał się słyszeć głos muezina. Cienie gęstły pośród róż i mirtów; miryady gwiazd zajaśniały na niebie; tajemnicza, namiętna noc Wschodu utuliła ziemię w swych ciemnych, wonnych ramionach.

Nagle coś zaszeleściło w pobliżu. Hamakhan drgnął i przystanął na wązkiej ścieżce pomiędzy murem a granatami, cały w słuch zamieniony.

Szelest powtórzył się tym razem bliższy, wyraźniejszy, a wślad za tem trzykrotny krzyk kanj w szczególnie dobitny sposób rozdarł powietrze.

Serce Hamakhana drgnęło radośnie: poznał sygnał, jakim pathańczycy posługiwali się często pomiędzy sobą w górskich przesmykach, i natychmiast odpowiedział w ten sam sposób.

Sygnał powtórzył się niezwłocznie; poczem Hamakhan usłyszał imię swoje, wymówione ostrożnie gdzieś nad jego głową. Szybko pobiegł w tę stronę i spojrzawszy w górę, ujrzał w świetle gwiazd postać Gaidy, siedzącego na szczycie parkanu. Dostał się tam po żywej drabinie swoich druhów, wspinając się po ich kolanach i ramionach.

— Hama! Nie jesteś raniony — szepnął. — Poczekaj! — dodał, gdy Hamakhan w uniesieniu radości próbował skoczyć na mur i tylko stłukł sobie ręce i kolana. — Poczekaj! Spuścimy ci nasze turbany.

Szybko skręcił Gaida sznur z powiązanych za sobą turbanów, przerzucił go przez mur jednym końcem na zewnątrz, gdzie go wnet uchwyciły i trzymały krzepkie dłonie Pathańczyków, a drugim do środka. Hamakhan uczepił go się z całej siły i wydźwignął na szczyt muru, gdzie w uniesieniu wdzięczności objął Gaidę za szyję i ucałował go serdecznie.

— Nie mnie, nie mnie — szepnął Gaida, oddając mu uścisk — ale twojej żonie dziękuj; ona nas tu przywiodła.

Po chwili obaj młodzieńcy zsunęli się przy pomocy ustawionych jeden na drugim pathańczyków na ziemię i Hamakhana ogarnął szał odzyskanej wolności, gdy ujrzał znów przed sobą niezmierzone obszary pustyni, leżące cicho pod gwiazdzistem niebem. Zaczął śmiać się i klaskać w dłonie; ale oni zalecili mu milczenie i wziąwszy go pomiędzy siebie, pobiegli pędem w stronę bazaru.

Gdy już pewną część przebyli, Gaida obejrzawszy się zobaczył jakiś niewyraźny kształt, skradający się za nimi. Mógł to być równie dobrze człowiek, jak zwierz, zdawał się bowiem czołgać po piasku, podskakując chwilami, jakby dla nabrania rozpędu. Pathańczycy odwrócili się i czekali; i ów kształt zatrzymał się także wahająco.

— Zbir Siryana posłany za mną — zaśmiał się Hamakhan.

— Nie trzeba, żeby wrócił z językiem — odparł Gaida. — Siryan mógłby zarządzić pościg i dogonić nas. A wtedy co poczniemy jeden przeciwko dziesięciu?

Naradzali się przez chwilę, poczem z błyskawiczną szybkością rzucili się z powrotem, dognali ową postać i powalili ją na piasek.

Zbir, ujrzawszy nad sobą groźne twarze pathańczyków i noże połyskujące w blasku gwiazd, zaczął jęczeć i błagać o litość.

— Związcie mu ręce i nogi i zostawcie go tutaj — rzekł Gaida — by go tu zjadły szakale. A my biegnijmy co tchu do miasta.

Skrępowali go jego własnym turbanem i pasem i zawrócili w stronę bazaru. Ale zanim dopadli wzgórza, na które pozostały kobiety, wiotka, smukła postać pędem zbiegła na ich spotkanie i Dora z okrzykiem niewysłowionej radości wpadła w wyciągnięte ramiona Hamakhana. Dłużej i panować nad sobą było wprost nad jej siły.

Pathańczycy otoczyli ich opiekuńczem kołem i im również serca zabiły wzruszeniem na widok tej namiętnej miłości, z jaką ta biała kobieta, córa władnej rasy, witała ich towarzysza.

Gdy cała gromadka ruszyła w powrotną drogę, gościniec był już milczący i pusty. Mężczyźni szli przodem, mając pomiędzy sobą Hamakhana; kobiety postępowały tuż za nimi.

Nim doszli do chat, Hamakhan krótko i dosadnie opowiedział, co zaszło pomiędzy nim a Siryanem. Dora słuchała z natężeniem, a gdy doszło do opisu historyi z rubinami, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Drogi! kochany! jedyny! tak więc ją kochał, że nie wyrzekłby się jej za wszystkie skarby świata! Jakże niewielu mężów europejskich, przynajmniej z pomiędzy tych, których znała, wyszłoby zwycięsko z podobnej próby, oczywiście, gdyby etyka Zachodu odnosiła się tak pobłażliwie do handlu żonami, jak to ma miejsce na Wschodzie.

— Siryan nie zna pathańczyków — zakończył pogardliwie Hamakhan.

— Nie; nie zna ich — odrzekł Gaida ze znaczącą ironią. — Gdybyśmy się byli przekonali, że cię zamordował — dodał, kładąc rękę na ramieniu Hamakhana—jak to niewątpliwie było jego zamiarem, bylibyśmy go porąbali na kawałeczki mniejsze od jego rubinów i tego samego koloru.

Pathańczycy zaśmieli się z dzikiem rozradowaniem z tego krwawego żartu. Inna kobieta, niż Dora, byłaby może zadrżała ze zgrozy; ale Dora uśmiechnęła się tylko; nie lękała się tych ludzi, tak, jak człowiek nie potrzebuje lękać się lwa, dopóki go nie drażni.

Doszedłszy do chaty Hamakhana, mężczyzni chcieli się żegnać, ale on nalegał koniecznie, by weszli do niego. Kobiety podążyły do swoich domów, a oni zasiedli w chacie na ziemi, podczas, gdy Dora wciąż zakwefiona schroniła się za ekran, a Hamakhan zakrzątnął się około przygotowania wieczerzy.

Gdy posiłek był gotów, Hamakhan przywołał ją, ona zaś siedząc tuż przy nim jadła i piła ze swej osobnej miseczki i filiżanki w milczeniu, podczas, gdy mężczyźn rozmawiali.

Gorąco było straszliwe; wiatr zwykle wieczoramj wiejący ustał zupełnie. Dora dusiła się za swą gęstą zasłoną i raz po raz mimowolnie podnosiła rękę do głowy.

Hamakhan zauważył to i rzekł:

— Możesz zdjąć zasłonę. Jesteśmy pośród przyjaciół.

Z uczuciem wdzięczności i ulgi, Dora odrzuciła dławiące draperye z twarzy, a światło lampy przytwierdzonej do ściany padło na jej głowę, zwieńczoną bujnemj splotami złocistych włosów. Nawet na angielkę Dora miała zawsze wyjątkowo jasną płeć, a teraz wilgotny i gorący klimat w połączeniu z zupełnem odwyknięciem od słońca, a nawet od światła dziennego doprowadził karnacyę jej do eterycznej niemal bladości i przejrzystości.

W tej chwili jednakże pod wpływem przebytych i jeszcze doznawanych wzruszeń policzki jej zaróżowiły się, a usta przybrały barwę rozpękniętego granatu. Ale to, co najbardziej olśniło i zachwyciło pathańczyków, to był blask i wyraz jej oczu. Oczu takich nie widzieli oni nigdy. Były świetliste i pełne słodyczy, zmienne w barwie i wyrazie, odzwierciadlające w sposób niezbity nieśmiertelną duszę.

Pathańczycy mogli mieć wątpliwości co do swoich kobiet, ale żaden z nich, patrząc w błękitne oczy Dory, nie byłby się zawahał w przyznaniu tej jednej prawa do duchowego dziedzictwa.

Czuli oni, zarówno jak Hamakhan, że posiadał on coś więcej, niż śliczną zabawkę; że to istota, aczkolwiek uległa, nie mogła być nigdy bezwzględną własnością mężczyzny. Należała do siebie; była samoistnem życiem, duszą. Jedno spojrzenie tych oczu mówiło o nieugiętej woli, odwadze, poczuciu osobistej godności.

Miłość, posiadanie tej kobiety było czemś zgoła różnem od pospolitego zaspokojenia zmysłów.

Czas jakiś milczeli wszyscy pogrążeni w tych myślach; poczem Gaida zwrócił się do Hamakhana i rzekł stanowczo:

— Nie jesteście tu już bezpieczni. Skoro tylko Siryan dowiedział się prawdy, nie da za wygraną. Wcześniej lub później postawi na swojem, a choć pomścimy się i zapłaci za to życiem, to ci żony nie wróci... Zresztą, oprócz Siryana mogą się znaleźć inni... Musicie stąd uchodzić.

Tamci przytaknęli milcząco. Żal im było tracić Hamakhana; jego wesołość, jego kwietna młodość, jego świeży śmiech radowały ich serca, ale tu chodziło o życie lub śmierć.

Wszyscy rozumieli to dobrze, że Siryan nie ustąpi. Gdyby tu chodziło o przeciętną kobietę ich rasy, mógłby to sobie wyperswadować, nie będzie ta, to będzie inna, piękniejsza jeszcze w dodatku. Ale gdzie znaleźć drugą, o twarzy białej i różowej, jak kwiat migdału, i o tych nadzwyczajnych, lazurowych oczach; drugą, w której żyłach płynęłaby najczystsza krew władnych sahibów?

Nie! jak Indye długie i szerokie, drugiej takiej Siryan by nie znalazł; i dlatego tych dwoje powinno było uciekać, a im prędzej, tem bezpieczniej.

Habakhan siedział milczący z zasępioną twarzą.

— Myślisz, że nie możesz się stąd ruszyć, bo nie masz pieniędzy— podjął po chwili Gaida — ale my możemy ci dać cośkolwiek — i zaczął rozwiązywać turban. Widząc to, inni uczynili to samo i po chwili kupka srebra leżała przed Hamakhanem na macie. Gaida ofiarował cztery rupie; inny trzy, inny półtorej — wszystko, co każdy w tej chwili posiadał.

Po załatwieniu materyalnej sprawy niejedno było jeszcze do omówienia; zaczęli się więc wspólnie naradzać. Postanowiono, że Hamakhan i Dora zabiorą wszystko, co będzie można, a inne ruchomości, jak tapczan, Gaida podjął się sprzedać i pieniądze im potem odesłać.

Dalszy ciąg nastąpi.

Z literatury.

Ponad życiem.

P. Jan Arcelicz, zapewne student wszechnicy jagiellońskiej, napisał szkic powieściowy p. t. „Ponad życie", który każe się domyślać, że w przyszłości stanie się on naprawdę powieściopisarzem. Zdradza przytem dużą kulturę umysłową i skala jego wrażliwości artystycznej jest dość szeroka. Szkic powieściowy trzymany jest w formie pamiętnika, ale rozsadza te ramy i daje cały szereg scen plastycznych nie przez prostą opowieść, lecz przez umiejętne stworzenie sytuacyi. Wiele, rozumie się, znaleźć można w tej książce kwasów młodości, nie wyklucza to jednak wcale rozmachu i nie obniża wartości „Ponad życiem". Fabuła uboga jest naogół w przygody. Opowiedziano tylko dzieje młodego studenta, który cierpi na przeintellektualizowanie życia i z tej racyi robi sobie gorące wymówki. Niebawem ten intellektualizm i to świadome, zbyt świadome życie pierzchnie. Zedrze z bohatera ten całun domniemanego smętku urocza Halka, żona kolegi, z którą romansik bez szczególnych przygód popłynie równo i sielsko. Wybiorą się nawet na eskapadę do Wiednia, by do dna wypić puhar miłosnych czarów. Powieść kończy się odrodzeńczym peanem na cześć życia, który zapewne powstaje w piersi pana z Lipnicy po spotkaniu z Ireną Turowską. Z okazyi tej p. Arcelicz pokaże studenckie życie Krakowa, opisze Wiedeń, napełni gwarem wiejskiego dworu podczas imienin serce młodego panicza z Lipnicy, wreszcie warszawski salon i kabaret znajdą też miejsce wśród stronic jego szkicu powieściowego. Z galeryi figur drugoplanowych wysunie się na plan pierwszy student Sokolicz, postać dziwna, człowiek o mizernym chrakterze. Zabije się on i może uczyni dobrze. Bo po co społeczeństwu zdały się takie plugawe jednostki! Interesującą postać starego powstańca pokazał też p. Arcelicz. Postać ta wykuta jest z jednej bryły. Pociąga powagą i tem światłem skupionem, które rzuca na nią p. Arcelicz. Język łatwy, obrazowy każe się domyślać, że w przyszłości proza polska może się stać w rękach p. Arcelicza posłusznem narzędziem do wypowiedzenia tak szeptów miłosnych, trosk społecznych, jak i namiętnych szałów uniesienia czy walki na śmierć lub życie. W każdym razie szkic powieściowy p. Arcelicza jest nieprzeciętną próbą.

Błąd.

Dzieje serc kobiecych bezradnych a pięknych opowiada znów p. Cecylia Walewska w nowej powieści swojej p. t. „Błąd". Mężczyźni w jej widzeniu rzeczywistości są dziwaczni, choć dziwactwa ich są piękne i pociągające, bo powstają na tłach ambicyi zawodowych lub chimer społecznych. Nie przekonywują przytem tą swoją jednostronnością zainteresowań, bo jednak człowiek nie jest aforyzmem. Rozkochany w Natalii psycholog-uczony Werner, jej mąż i ojciec jej dziecka, gdy dowie się o chorobie ukochanej dzieciny, w najbliższym liście pisać będzie o wszystkiem, tylko nie o swoim jedynaku. Albo też Mieczysław, brat Natalii, twórca lig etycznych, zachowuje się ciągle, jak chłopiec, uciekający do Afryki.

Kobiety pani Walewskiej są piękne, dobre i pociągają skupionym sentymentem, lecz stanowczo najmniej są artystycznie prawdopodobne w swojem cierpieniu. Możliwe, że są one *życiowo* prawdziwe. W sztuce jednak trzeba narzucić prawdopodobieństwo przez siłę plastyki. Otóż w cierpieniu ani Irena, ani Natalia nie są plastyczne. Wyglądają, jek złe humory. Nic dziwnego może, gdyż przeważnie cierpią za winy urojone, a których autorka zdaje sobie sprawę; pisząc aforyzm: „niema winy i bezwiny, jest tylko poznanie".

Fabuła obejmuje dzieje życia dzieci bogatego fabrykanta Wrońskiego: syna Mieczysława i Natalii, córki. W te koleje życia wplecie autorka mariaż Natalii z Wernerem psychologiem. Natalia wychodzi za niego z miłości i... nie jest szczęśliwą, bo mąż traktuje ją ciągle, jak miłe bawidełko. Wreszcie ekcentryczny Mieczysław odnajdzie sobie aż w Rzymie śpiewaczkę operową, której życie jest bajką pełną nieprawdopodobieństw, zostawi na pięcioletnie doświadczenie u siostry i ożeni się z nią, co znów obudzi w Irenie udręczenia, gdyż wzięła paręset lirów swojemu eksopiektunowi czy narzeczonemu. Powieść kończy się sielsko, niemal idyllicznie, bo nad kołyską dziecka. Natalia też względnie jest szczęśliwą, gdyż dzięki jej pieniędzom i pracy powstaje w Warszawie instytut psychologiczno-pedologiczny.

Konstrukcyjnie powieść p. Walewskiej jest mniej wartą od dawnych jej prac. Czyta się jednak z zainteresowaniem.

Złota Biblioteka.

W „Złotej Bibliotece" dla dzieci, która wychodzi pod redakcyą dyr. Jana Grabowskiego, zjawiły się „Powieści Szekspira", „Tezeusz", „Poskromienie Złośnicy" i „Złoto Renu". „Tezeusza" opracował p. Jerzy Bukowiński, „Powieść Szekspira" p. Władysława Gorska, „Złoto Renu" zaś p. Zarzycka. Tomiki obecnie wydane wskazują, że „Złota Biblioteka" zamierza rozszerzyć krąg swoich czytelników. Dla umysłów bowiem młodocianych, dla naszych dzieci, znajdujących się w wieku przedszkolnym, książki te są zbyt oderwane od rzeczywistości polskiej. Saga germańska o „Złocie Renu" lub „Powieści Szekspira", byłyby odpowiedniejsze dla dzieci starszych. Nie zaszkodziłoby też większe zwrócenie uwagi na rzeczy swojskie.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.